

Sezon na werandowanie

Pierwszego zabrali starego Stefana. Chyba nawet nikt tego nie zauważył. Chociaż pewnie w kuchni to odnotowali. Salowa musiała zgłosić jeden posiłek mniej do wydania. Pewnie poszła i powiedziała – od dzisiaj bez jednego śniadania i bez obiado-kolacji, tak już od dzisiaj. Wywiozła też pościel i łóżko do dezynfekcji. Normalna procedura, jak ktoś umierał. A tutaj ludzie umierają prawie co dzień. Jak jest dzień bez umrzyka, to mówimy, że dziś niedziela, bo Starucha ma wolne i po nikogo nie przyszła. Czasami po niedzieli jest środa albo piątek, albo prawdziwa niedziela, to już różnie. Zależy jak wypadnie. Czasami się zdarza też tak, że niedziela jest w niedzielę. Normalnie. Tylko, że stary Stefan wcale nie umarł, choć niektórzy chyba tak właśnie myśleli.

Akurat to był poniedziałek, nie żadna niedziela. Pamiętam dobrze, bo siedzieliśmy na ławce i nie wiem jak inni, ale ja patrzyłem na szpaki, które po lichej zimie zaczęły hałasować w naszym ogródku. Kot patrzył zza szyby i mało się nie zesrał tak mu się paliło do tych szpaków. No, ale okno zamknięte, a pazurem przecież szkła nie udrze. Ławka stała na werandzie i to był chyba pierwszy taki ciepły dzień, kiedy można było sobie na niej usiąść i zagrzać kości.

- Sezon werandowy czas zacząć – powiedział Szopin z wyraźnym zadowoleniem ukradkiem strzepując popiół pod ławkę. Ukradkiem, bo nie można było palić i Oddziałowa gonila za cygary jakby była wcieleniem afgańskiego charta.

- Taa... Sezon od razu – mruknął do niego Mucha, wieczny malkontent i pierwszy zawsze do krytykowania. Ciągle mu wszystko

nie smakowało, zawsze mu było albo za dużo, albo za mało, za słone, albo za słodkie. Zawsze źle, nigdy dobrze. Wkurwiał wszystkich tym głędzeniem tylko. Wszystkich z wyjątkiem Szopina. Ten był jego zupełnym przeciwieństwem. Nie narzekał, nie wybrzydzał. Brał na klatę, co los przyniósł i nawet marudzeniem Muchy się nie przejmował.